

ZAWIŁA, SERPENTYNĄ SPADAJĄCE-
GO LIŚCIA NA ŻŁOTĄ ŁĄK AGONJĘ
RYSUJĄCA ZJAWĘ POETY, ŚRÓD-
ŚCIERNIE DROGI I BEZKSZTAŁT ZI-
SZCZENIA

ZESZŁY SIĘ TRZY PORANKI
NA JEDEN DZIEŃ ŚWIĘTY —
na dzień jeden — na chwilę
tego przedsięwzięcia,
które miało być cudem
dziś — i od początku —
—
— zapachniały lelije,
trzmieliny, tarniny,
dziewanny i maki —
nad głową tak dziecięcia
co dla niepoznaki
właściwie był dziecięciem —
— był bowiem jeno blaskiem
zapachem i miodem,
zorzą, zmierzchem i jutrznią
przystankiem i chłodem —
— był dźwiękiem pokumanym
z wszelikim losem —
młak i zalesi dymnych
był głosem pogłosem —
—
a że niesamowicie
romtajdiadana
zapoczął jakieś życie
od jakiegoś rana —
zapomniał pomylenieć
co znaczy być — niebyć —
i JEST tem czem BYŁ niegdys
i tem czem mógł niebyć —
—
— a żyjące w rozemgle
zjawy i przejawy
widzące krąg powszedni
przespanej niestawy —
współczują z nim w kamractwie
choć jacytacy —
nie wiedząc, że go niema —:
— bowiem żyje w PRACY